

BIBLIOTEKA Powszechna

Mieczysław Romanowski.

Dziewczę z Sącza.

Rzecz mieszczańska
z czasów wojny szwedzkiej
roku 1655.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE

w każdej księgarni



SŁU DZY WIEL KOŚCI

Podstawa literaturoznawstwa

O edytorstwie z Włodzimierzem Boleckim
rozmawiają Dariusz Pachocki
i Wojciech Kruszewski

Włodzimierz Bolecki, Instytut Badań Literackich PAN, kontakt: wlozdimierz.bolecki@ibl.waw.pl,
ORCID ID: 0000-0003-3235-9571; Dariusz Pachocki, Katolicki Uniwersytet Lubelski, kontakt: dariuszp@kul.pl,
ORCID ID: 0000-0002-1498-3648; Wojciech Kruszewski, Katolicki Uniwersytet Lubelski,
kontakt: wojciech.kruszewski@kul.pl, ORCID ID: 0000-0003-1314-4620

Dariusz Pachocki

Chciałbym zacząć od pytania o to, czy prace edytorskie są doceniane?

Włodzimierz Bolecki

To zależy, co przyjmiemy za punkt odniesienia, czyli przez kogo są doceniane i z jakiego powodu. Edytorzy na pewno doceniają swoją pracę, jakkolwiek niewiele robią, żeby ich pracę docenili inni. A przecież chodzi o tych innych – o społeczny obraz edytorstwa. Zgodzimy się, że to rzadkie zwierzątko żyje tylko w rezerwatach, niestety. Czy poza małym środowiskiem profesjonalistów edytorstwo jest cenione, na przykład w edukacji literaturoznawczej? Też nie ma powodów do satysfakcji, prawda? I chociaż od dawna na wielu uczelniach prowadzone są specjalizacje edytorskie czy seminaria, jest to jedynie wąska ścieżka specjalizacji, zwieńczenie dyplomu ukończenia studiów. Po prostu edytorstwo nie jest trwale wmontowane w kształcenie literaturoznawcze. A czy edycje krytyczne są doceniane, oczekiwane, czy stanowią istotny składnik życia literackiego? Nic podobnego. Zainteresowanie nimi jest niszowe. A profesjonalne kryteria oceny? Mówiąc wprost: praca edytora nigdy nie była ani doceniana, ani preferowana; nie stanowiła ważnego komponentu wykształcenia literaturoznawczego. Była raczej traktowana jako jedna z wielu nauk pomocniczych historii literatury.

Efekt widzimy w kryteriach ewaluacji prac naukowych. Gdy tworzono Ustawę 2.0, kierowałem Radą NPRH, która musiała stoczyć ciężką bitwę z urzędnikami ministerstwa, żeby prace edytorskie, finansowane przez NPRH, zostały docenione w ewaluacji. Pytaliśmy, jak to możliwe, że ministerstwo wydało już setki milionów złotych na granty w NPRH, których wyników nie ceni w kryteriach

Słudzy wielkości. Rozmowy o edytorstwie

swojej ewaluacji. Jedyne, co udało nam się uzyskać, to zwiększenie punktacji prac będących wynikiem grantów NPRH, NCN i FNP (notabene dzięki osobistej interwencji ministra Gowina w treść opublikowanego już rozporządzenia). Ale to nie edytorstwo zostało docenione (nie ma przecież publikacji edytorskich w NCN czy w FNP), lecz to, że prace humanistyczne w tych instytucjach były finansowane z grantów, czyli powstały w wyniku konkursów. W kryteriach ewaluacji docenia się prace, które eksperci uznali za lepsze od innych, czyli przeszły one surową ocenę – i tak musi być. Jednak samo zgłoszenie pracy edytorskiej jako osiągnięcia naukowego budzi nadal zdziwienie, a najłagodniej rzecz ujmując – wątpliwości.

Dariusz Pachocki

A skąd ten opór?

Włodzimierz Bolecki

Z nierozumienia, czym jest edytorstwo, z wyobrażeń, że edytorstwo polega na dodawaniu do cudzego tekstu posłowania lub wstępu, czyli każdy może być edytorem. Szczytem tej ignorancji jest w dyscyplinach niefilologicznych traktowanie publikacji zbioru tekstów, czyli ich wyboru, jako wyznacznika pracy edytorskiej. Uczestniczyłem kiedyś w dużej konferencji, podczas której ktoś zapytał, dlaczego projekt rozporządzenia ministerstwa na temat punktacji publikacji naukowych nie uwzględnia prac edytorskich. Urzędnik, do którego skierowano pytanie, odpowiedział, że on czytał konstytucję jednego z krajów afrykańskich opublikowaną ze wstępem i to mu uświadomiło, że prace edytorskie są niewiele warte. Z wykształcenia był politologiem.

Trzeba mieć świadomość, że to nie literaturoznawcy decydują o kryteriach ewaluacji. W ramach tzw. reformy 2010 roku powstał Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych, w którym wyodrębniono zespoły dziedzinowe. Jeden z zespołów składał się wyłącznie z przedstawicieli nauk społecznych i humanistycznych, którzy przygotowali adekwatne, szczegółowe kryteria oceny prac humanistycznych, uwzględniające także prace edytorskie. Dopracowania wymagała natomiast ocena monografii i ocena czasopism (na co w KEJN zabrakło pomysłu). Gdy przyszła ekipa ministra Gowina, to komuś z jego urzędników nie spodobał się KEJN i zamiast go ulepszać, eliminować błędy, postanowiono całkowicie zmienić system oceny prac humanistycznych. Pominę milczeniem, jak to zrobiono. Efekt jest nam znany, środowisko humanistyczne protestuje, nie akceptuje nowych kryteriów, ponieważ są nieadekwatne do prac humanistycznych, deformują ich oceny, nie mówiąc o tym, że wielu typów prac humanistycznych nie uwzględniają. I nadal mamy nierozwiązany problem – co robić, żeby prace edytorskie były traktowane jak prace naukowe?

Dariusz Pachocki

Może jest w tym też wina samych badaczy? Są przecież literaturoznawcy, dla których nie ma znaczenia, z jakiej edycji korzystają.

Co robić,
żeby prace
edytorskie
były traktowane
jak prace naukowe?

Włodzimierz Bolecki

Pełna zgoda! Ostatnio miałem w rękach polonistyczną rozprawę napisaną w ramach grantu badawczego, w której zbudowano bardzo poważną – i błyskotliwą – konstrukcję interpretacyjną. Otóż prowadząc swoją interpretację, badacz nie miał w rękach krytycznego wydania interpretowanego tekstu. Opierał się na wydaniu popularnym.

Wojciech Kruszewski

Nie miał świadomości, że w pracy naukowej tak postępować nie wolno?

Włodzimierz Bolecki

Chyba rzeczywiście nie miał tej świadomości (co gorsza, tej świadomości nie mieli też chyba recenzenci rozprawy). W rezultacie badacz nie uwzględnił w swoich analizach informacji podanych w przypisach przez edytora wydania krytycznego. Oczywiście komentarze edytora nie zmieniają tekstu, ale mogą zawierać informacje, które pewne interpretacje wykluczają, a inne czynią bardziej uzasadnionymi. Badacz, o którym mówię – a przecież może to być jedna z wielu podobnych sytuacji – nie czytając komentarza edytorskiego, nie znał odnalezionych materiałów mających zasadnicze znaczenie dla rozumienia tekstu.

Wojciech Kruszewski

Dlaczego tak postąpił?

Włodzimierz Bolecki

Zapewne tak go nauczono.

Wojciech Kruszewski

To znaczy?

Włodzimierz Bolecki

Być może uczono go wąsko rozumianego literaturoznawstwa immanentnego, czyli doktryny, że istnieje tylko opublikowany utwór literacki, nic poza nim nie ma i nie ma powodu, żeby konfrontować opublikowany tekst z innymi typami dokumentów – tak jak to robi na przykład krytyka genetyczna. Innymi słowy, nie musimy niczego weryfikować, nie uwzględniamy kontekstów, nie musimy pytać o historyczność tekstu, musimy tylko ten tekst przeczytać i nałożyć na niego jakiś atrakcyjny kostium interpretacyjny. Często ten gotowy kostium – czyli „język interpretacji” w terminologii Janusza Sławińskiego – wydaje się ciekawszy niż sam tekst.

Wojciech Kruszewski

O czym to świadczy?

Włodzimierz Bolecki

To jest kaleka metodologia. Brak profesjonalizmu. Być może ma to związek z tym, że mówimy o pracach na temat literatury współczesnej, w których granica między kry-

tyką literacką a badaniami filologicznymi jest bardzo często zacierana. Praca badawcza rozumiana jest jako krytyka literacka, a ta – jako interpretacja. Dopóki uprawia się krytykę literacką, to wszystko się zgadza. Ale jak jej praktyki zostaną przeniesione na działania, w którym konieczne są rzeczywiste badania filologiczne i elementarna znajomość metodologii, to interpretatorom po prostu zaczyna brakować narzędzi i rzetelnej wiedzy tekstologicznej.

Wojciech Kruszewski

A jak można temu zaradzić?

Włodzimierz Bolecki

Hmm... jeśli można... Po pierwsze, trzeba by wyraźnie oddzielać krytykę literacką od badań literackich – z pożytkiem dla tej pierwszej, choć ze szkodą dla tych drugich, bo zapewne będą mniej atrakcyjne, by nie powiedzieć – bardziej nużące. Ale tę cenę trzeba zapłacić. Po drugie, trzeba by przekonać literaturoznawców, że edytorstwo jest badaniem tekstu, a nie nauką pomocniczą. Inaczej mówiąc, edytorstwa należy uczyć w ramach poetyki i teorii literatury. A to znaczy, że edytorstwo trzeba uczynić fundamentem literaturoznawstwa, jego najdosłowniej rozumianą podstawą, ponieważ edytorstwo jest nauką o tekście – razem z poetyką należy do tekstologii. Mówiąc wprost, w ćwiczenia z poetyki należałoby między innymi wkomponować elementy genetyki tekstu. Dorzuciłbym jeszcze elementy translatoologii.

Wojciech Kruszewski

Jest jeszcze jedna sfera działań edytorskich, bardzo mnie interesująca, mianowicie działalność popularyzująca naszą dyscyplinę. Edycje krytyczne są skierowane do ekspertów w dziedzinie literaturoznawstwa i raczej nikt, tak jak Pan zauważył, nie czeka na nową edycję krytyczną z wypiekami na twarzy. Byłem na konferencji, na której bardzo ciekawy referat miała profesor z Włoch. Mówiła, że to są wszystko fantastyczne problemy, te subtelności filologiczne, ale pamiętajmy o tym, że robimy to dla kogoś, to znaczy, że jednak ten pojawiający się gdzieś na horyzoncie naszej pracy odbiorca – on ma inne oczekiwania. On zwykle oczekuje, że dostanie taką edycję, o której Pan mówił, uproszczoną, gdzie będzie sam tekst, ewentualnie będzie mu towarzyszyło jakieś opracowanie. Kto miałby to robić? Czy uważa Pan, że w akademii, w świecie uniwersyteckim w Polsce powinno być miejsce na docenienie również takich prac? Podam bardzo konkretny przykład, ostatnio ukazała się w Kronosie edycja wierszy Norwida, od *Vade-mecum* do końca, profesora Ferta, tam nie ma aparatu, to jest bezwzględnie przygotowane rzetelnie, ale są to „gołe” wiersze plus komentarz. Co z tym zrobić?

Włodzimierz Bolecki

A czy trzeba coś robić? Myślę, że prawie każdy edytor ma w swoim dorobku zarówno specjalistyczne prace edytorskie, przeznaczone dla wąskiej grupy badaczy, jak i rozmaite wydania popularne adresowane do zupełnie innego czytelnika. Takie prace nie wymagają aparatu badawczego, wymagają tylko wyboru utworów danego autora. Nie należą do edytorstwa naukowego. Bywa, że wymagają też odpowiedniego wstępu,

**Edytorstwo
trzeba uczynić
fundamentem
literaturoznawstwa**

kilku prostych przypisów, ale z zasady są skierowane do czytelnika, którego interesuje twórczość konkretnego autora, ale już nie interesuje go naukowe opracowanie tekstu.

Jednak przykład, który Panowie podali, jest bardzo interesujący z innego powodu, ponieważ każe zapytać, czym jest edytorstwo, jakie są jego wyznaczniki, odmiany i granice. Czy antologia wierszy konkretnego pisarza pozbawiona tzw. aparatu naukowego należy jeszcze do edytorstwa czy do popularyzacji literatury albo niedyskursywnej krytyki literackiej? Moim zdaniem do tych ostatnich, ponieważ jedynym narzędziem, jakim posłużył się antologista, jest interpretacja (niesformułowana) w postaci wyboru i układu konkretnych utworów. To jest akt krytyczny, a nie wypowiedź badawcza. Mamy teksty, ale nie otrzymujemy sformułowanej wiedzy o tych tekstach. Otóż istotą pracy edytorskiej musi być wypracowywanie wiedzy o konkretnych tekstach, którą umownie nazywamy „opracowaniem” utworu. Jeśli to opracowanie jest oryginalne, nowe, a nawet nowatorskie, to mamy do czynienia z autorskim osiągnięciem badawczym, które powinno być oceniane na równi z innymi publikacjami naukowymi.

Myślę, że problemem jest też miejsce edytorstwa w edukacji literaturoznawców. Gdyby każdy student i każdy doktorant był postawiony wobec konieczności na przykład posługiwania się tylko edycjami krytycznymi, oczywiście jeżeli one istnieją, to z czasem wizerunek edytorstwa by się zmienił. Prace na stopień, które opierałyby się na wydaniach popularnych, powinny być traktowane jako nieakceptowalny brak profesjonalizmu. Wtedy ten przekaz, o którym Panowie mówią, dotarłby do świadomości adeptów literaturoznawstwa.

Dariusz Pachocki

A jak z Pana perspektywy wygląda kondycja dyscypliny?

Włodzimierz Bolecki

Jest w niej wiele zaległości, niewielka dynamika, ale też szereg wybitnych osiągnięć, najczęściej indywidualnych, czasem zespołowych, jednak nie będę ich tu wymieniał, skoro pyta Pan o kondycję dyscypliny. Moim zdaniem podstawową słabością edytorstwa jako dyscypliny naukowej, a nie indywidualnych prac, jest brak autorefleksji teoretycznej. Termin „edytorstwo” jest faktycznie workiem, do którego wrzuca się wszystko, co zostanie opublikowane – *vide* przykład, który podałem na początku. Trzeba by zacząć od klasyfikacji różnych form publikowania jako form uprawiania literaturoznawstwa. Można być antologistą (teksty literackie) albo można układać wybory tekstów publicystycznych lub naukowych, ale to nie jest jeszcze edytorstwo, które, jak wspomniałem, trzeba by zawęzić do badania tekstu i do tworzenia dyskursywnej wiedzy tekstologicznej. Dwa pierwsze działania mogą należeć do literaturoznawstwa, ale nie muszą, bo mogą być formą uprawiania historii, filozofii, historii sztuki, politologii, prawa itd.

Ponadto słabością edytorstwa – jako działalności literaturoznawczej – jest też niedostosowanie jego nomenklatury do współczesnych kryteriów ewaluacji osiągnięć naukowych. Mówiąc krótko, systemy ewaluacyjne nie widzą żadnego typu prac uprawianych przez edytorów. To tak jak w informatyce – są programy, które nie otwierają dokumentów zapisanych w nieznanym im formatach. Albo prościej – jak chce Pan fizycznie podłączyć jakiś interfejs (urządzenie) do komputera, to jego końcówka musi

pasować do gniazda w komputerze. Otóż edytorstwa z jego tradycyjną nomenklaturą nie można podłączyć do systemów ewaluacji osiągnięć naukowych, bo w tych systemach nie istnieją takie kryteria („sloty”), jak „pod redakcją”, „wstęp”, „posłowie”, „przypisy”, „glosy”, „bibliografia”, „komentarze”, „biogramy”, „indeksy” itp. – tego typu prac system ocen nie widzi, słowem, one dla niego nie istnieją jako prace naukowe. Więc nie dziwny się, że po upokarzającej zebraniu edytorów decydenci zgadzają się przyznać takim pracom 3–5 punktów na 200 punktów. To chyba oczywiste – i bolesne, prawda?

Dariusz Pachocki

Można temu jakoś zaradzić?

Włodzimierz Bolecki

To się dopiero okaże, ale nomenklaturę edytorską (w pracach zgłaszanych do „punktozy”) trzeba całkowicie zmienić. Przede wszystkim trzeba przyjąć do wiadomości, że w ocenie osiągnięć naukowych liczy się tylko jedna kategoria – autorstwo. Edytorzy nadal posługują się w opisie swoich prac nie tylko rozproszonymi terminami, które na zewnątrz edytorstwa nikomu nic nie mówią, ale na dodatek usunęli ze swojej nomenklatury kategorię autorstwa, umieszczając ją w najbardziej nieodpowiednim miejscu.

Dariusz Pachocki

To znaczy?

Włodzimierz Bolecki

Autorem zbiorowego wydania dzieł Mickiewicza nie jest Adam Mickiewicz, prawda? Słowackiego – nie jest Juliusz Słowacki, Krasińskiego – Zygmunt Krasiński, Norwida – nie jest Cyprian Norwid, Wyspiańskiego – nie jest Stanisław Wyspiański, Schulza – nie jest Bruno Schulz itd., itd. Autorem tych zbiorowych wydań jest zawsze kilkoro edytorów. A tymczasem do systemu ewaluacyjnego jako autorów zgłaszamy nazwiska tych pisarzy (i ich utwory), a nie autorskie prace edytorów.

Dariusz Pachocki

Da się z tego wybrnąć?

Włodzimierz Bolecki

Mam nadzieję, że tak, choć będzie to wymagać determinacji i solidarności naszego środowiska. Trzeba bowiem radykalnie zmienić nomenklaturę, w jakiej zgłaszane są do oceny prace edytorskie, czyli musimy przyjąć standard opisu obowiązujący w dyscyplinach z obszaru *science*. Artykuł z zakresu *science* ma zazwyczaj kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu autorów. Każda z osób, która przyczyniła się do powstania artykułu, ma status autora. I nikt nie podaje w artykule, co konkretnie zrobiła, bo to zajęłoby zbyt dużo miejsca. Kolejność nazwisk oznacza najczęściej rangę wkładu w to osiągnięcie – ale to jest konwencja techniczna. Inaczej mówiąc, dopóki będzie obowiązywał aktualny system ewaluacji prac naukowych („punktoza” zamiast oce-

**Systemy
ewaluacyjne
nie widzą
żadnego typu prac
uprawianych
przez edytorów**

ny eksperckiej), prace edytorskie powinny być zgłaszane (opisywane) w identycznej konwencji jak artykuły w *science*. Czyli najpierw nazwiska autorów (edytorzy), potem tytuł publikacji (np. *Dzieła zebrane X-a*), nazwa wydawnictwa, rok itd. Nic więcej. Tak też powinna wyglądać okładka i strona tytułowa zgłaszanej do oceny książki. Informacja, kto i co konkretnie zrobił, powinna się natomiast znaleźć w formie legendy w zakończeniu każdego tomu, ewentualnie też w spisie treści. Powtarzam: zapis edytorski powinien jednoznacznie informować, że autorem (najczęściej zbiorowym) każdej pracy edytorskiej (obejmującej także tekst utworu) jest edytor (-rzy), a nie twórca utworu.

Dariusz Pachocki

Przez wiele lat przewodniczył Pan Radzie NPRH. Zna Pan zarówno te projekty, które trafiły do realizacji, jak i te, które odpadły na etapie oceny.

Włodzimierz Bolecki

NPRH był próbą wmontowania prac edytorskich w polski system grantowy. Pomysł powstał w 2009 roku, a program ruszył w ministerstwie w 2011 roku, czyli zaledwie dwanaście lat temu. W historii dyscypliny to niewiele, ale okazało się, że to jest program, który przyciąga liczne grono badaczy z różnych dyscyplin humanistycznych. Pomysł NPRH trafił w istotne potrzeby naszego środowiska, które wcześniej takich programów nie miało i nie miało też doświadczenia w ubieganiu się o granty (nie dotacje!) na projekty edytorskie (w rozumieniu NPRH). Dlatego napisanie dobrego projektu grantowego było wyzwaniem dla wielu badaczy. Mógłbym powiedzieć – z perspektywy Rady NPRH – że stan edytorstwa jest w Polsce lepszy niż poziom wniosków grantowych: często pisanych na kolanie, ogólnikowych, nonszalanckich w przedstawianiu kosztorysów, bez wyraźnej koncepcji, co ma być wynikiem pięcioletnich (*sic!*) projektów, a także – przykro to mówić – niekiedy naciąganych. Ale to był margines wniosków.

Najważniejszym efektem pojawienia się NPRH było chyba pokazanie, że edytorstwo z jednej strony jest w humanistyce ważne, a z drugiej – że sami edytorzy poczuli się docenieni. A przy okazji zmuszeni do precyzyjnego opisanie, jakimi narzędziami dysponują, jak i co chcą zrobić. Konieczność wyjaśnienia tych kwestii – powiedzmy: metodologicznych – dla wielu wnioskodawców była problemem, więc składając wniosek po raz drugi czy trzeci, przechodzili przyspieszony kurs pisania projektów grantowych. W każdej dyscyplinie jest wąska grupa znakomicie zorientowanych badaczy, jednak dość często zdarzały się wnioski przygotowane według zasady „mamy pomysł, może dostaniemy pieniądze”. Recenzenci dla takich wniosków byli bezlitośni.

Dariusz Pachocki

Zatrzymajmy się na chwilę przy zainteresowaniach polskich edytorów.

Włodzimierz Bolecki

NPRH to program adresowany do różnych dyscyplin humanistycznych, więc zarówno tematy, typy dokumentów, jak i sposoby ich opracowania są bardzo różne. Historycy wydają przede wszystkim źródła, filolodzy klasykę literacką, historycy sztuki teksty o sztuce itd., a do tego dochodzą jeszcze inne materiały o charakterze

Śluzdy wielkości. Rozmowy o edytorstwie

źródłowym. Trudno uogólniać, należałoby edycje w każdej dyscyplinie charakteryzować osobno. Ponadto sam program ma kilka modułów, więc umożliwia finansowanie różnych typów prac. Mnie szczególnie martwiła niewielka liczba wniosków na przygotowanie rozmaitych kompendiów wiedzy, takich jak wszelkiego typu słowniki, encyklopedie, opracowania syntetyczne, katalogi, bibliografie, słowem *reference books*, których w polskiej humanistyce bardzo brakuje.

Dariusz Pachocki

Czy jeszcze czegoś brakuje w polskim edytorstwie?

Włodzimierz Bolecki

Przede wszystkim rozbudowy edytorstwa cyfrowego. W porównaniu z uczelniami zachodnimi humanistyka cyfrowa w Polsce co prawda nie jest już w powijakach, ale jest ciągle na etapie początkowym. To jest jednak zupełnie inny temat, dlatego go tu nie kontynuuję.

Oprócz refleksji metodologicznej brak w polskim edytorstwie tradycji pracy w zespołach badawczych. Ambitne, wielkoskalowe prace edytorskie muszą być zespołowe. Jesteśmy przyzwyczajeni, że najwięcej osiągnięć mamy w tzw. zakresie edytorstwa indywidualnego – jeden edytor przygotowywał jeden czy kilka tekstów tego samego autora, czasem ukazywały się rzeczy wielkie, ale przecież bardzo często te przedsięwzięcia nie były kończone. Rzecz w tym, że projekty finansowane z grantów muszą zakończyć się w określonym czasie, a ich efekty muszą być na bieżąco raportowane. Nie ma co ukrywać – reżim sprawozdawczości w grantach jest dużym utrudnieniem dla grantobiorców. Ale innej drogi w systemach grantowych nie ma.

Wojciech Kruszewski

Czyli obecność zespołów edytorskich uznaje Pan za coś istotnego?

Włodzimierz Bolecki

Tak, tym bardziej że w humanistyce (może poza archeologią) rzadko pracuje się zespołowo – pracy zespołowej nie uczy się studentów, doktorantów też nie. Zamiast pracy zespołowej mamy częste przedsięwzięcia zbiorowe, a to nie to samo. Prace zbiorowe mają zazwyczaj charakter przypadkowy w tym sensie, że ktoś, kto chce przygotować publikację zbiorową, wówczas odwołuje się do „pospolitego ruszenia”. Poza słownikarstwem nie ma tradycji tworzenia zespołów badawczych i szkół badawczych w zakresie edytorstwa. Oczywiście są rozpoznawalne ośrodki, które zajmują się edycjami konkretnych pisarzy, na przykład ośrodek lubelski publikuje Norwida (KUL) i Czechowicza (UMCS), Krasieńskiego – opracowuje UMK, dzieła Żeromskiego przygotowywane są w Kielcach, dzieła Schulza opracowuje się w Gdańsku, można by wymienić jeszcze wiele takich inicjatyw. Ale proszę zwrócić uwagę, że te ośrodki są rozpoznawalne ze względu na to, jakim pisarzem się zajmują, a nie jakie tworzą standardy, jakie szkoły badawcze w edytorstwie – a przecież nie jest tak, że wszyscy edytorstwo uprawiają tak samo. Tu widać też to, o czym już mówiłem – edytorstwo przez dziesięciolecia było traktowane jako nauka pomocnicza lub przygotowanie do zawodu redaktora, dlatego brak w nim szerszej refleksji teoretycznej, refleksji nad jego miejscem w literaturoznawstwie. A w konsekwencji nie potrafimy stwierdzić, czy mamy

**Ambitne,
wielkoskalowe
prace edytorskie
muszą być
zespołowe**

jakieś szkoły w edytorstwie. Przez dziesięciolecia edytorstwo sprowadzało się – w najlepszym razie – do odtwarzania reguł identycznych dla wszystkich. Ustalono przepisy, a za edytora uważano każdego, kto się do nich dostosuje i kto je stosuje. To kompletnie zarznęło jakąkolwiek żywą myśl na temat edytorstwa. Oprócz genetyki tekstów nie doszło do wykrystalizowania się innych nurtów, do wkomponowania edytorstwa w szerszą refleksję tekstologiczną. Takie kierunki, jak filozofia literatury, teoria literatury, metodologia literatury, to wszystko, co inspiruje dziś tekstologię teoretyczną, rozwijały się przez stulecie zupełnie osobno, jakby obok edytorstwa (albo odwrotnie), a przecież przedmiot mają ten sam, czyli tekst. W efekcie wiedza teoretyczna o tekście nie przekładała się na refleksję metatekstową w edytorstwie. A równocześnie edytorstwo rozumiane jako wierne powtarzanie reguł filologicznych ustalonych pięćdziesiąt czy sto lat temu odseparowało się od refleksji literaturoznawczej (tekstologicznej). A przecież w ostatnim stuleciu przeszła ona kilka rewolucji. Na Zachodzie już dawno to zauważono, w Polsce obowiązywała natomiast (i chyba nadal obowiązuje) zasada „niech na całym świecie teoria się plecie, ale my, edytorzy, do nowinek nie skorzy”.

Wojciech Kruszewski

Czyli upomina się Pan nie tyle o zespół, ile o szkołę edytorską? Czy byłaby to grupa ludzi, których łączy ze sobą konkretna metoda edytorska? To chyba jest możliwe tylko w szkole badawczej. A nie w zespole utworzonym na potrzeby projektowe.

Włodzimierz Bolecki

To jest dobre rozróżnienie, ale zespół i szkołę badawczą w edytorstwie trzeba zobaczyć jako dwie strony tej samej kartki. Inaczej niż w przypadku interpretacji czy zagadnień teoretycznych praca edytorska wymaga głębokiej współpracy. Jeżeli musimy przygotować edycję wielu utworów w ciągu kilku lat, a nie rozłożyć ją na dwa pokolenia, to edycja musi być pochodną wspólnej pracy zespołowej. Podział zadań w zespole łatwo opisać, szkołę musi natomiast przede wszystkim charakteryzować refleksja metatekstowa, metodologiczna. Mogę podać taki przykład dwóch szkół edycji z własnego doświadczenia. Wydawałem *Pożegnanie jesieni*. Równocześnie *Pożegnanie jesieni* przygotowała Anna Micińska, która wybrała inny niż ja typ opracowania tekstu. Nie można powiedzieć, że jeden z tych sposobów edycji był lepszy. To były dwa różne założenia, dwie różne szkoły edytowania, a równocześnie rozumienia filologicznej poetyki tekstu Witkacego.

Wojciech Kruszewski

Gdyby był Pan demiurgiem w świecie edytorskim w Polsce, to czy wskazałby Pan jakieś obszary, które domagają się takiej intensywnej pracy edytorskiej dzisiaj? I jak by Pan to widział: czy przez wskazanie właśnie jakichś nazwisk, dzieł, czy przez wskazanie jakiegoś sposobu uprawiania tej dyscypliny?

Włodzimierz Bolecki

Na szczęście żadnym demiurgiem nie jestem i nie będę. Ale przechodząc do „meritum sedna” Pana pytania: przede wszystkim stworzyłbym listę problemów, które powinny być przemyślane. Po pierwsze, jak rozumiemy tekst? Po drugie, jak rozumiemy związki tego tekstu z kontekstami? Po trzecie, czym są konteksty tego tekstu? – co jest

Bardzo dużo
tracimy, nie
publikując
archiwum
danego tekstu

już problemem historycznoliterackim. I dalej: jaką funkcję w edycji mają pełnić materiały biograficzne? A może skupić się tylko na intertekstualności, na związku tekstu z innymi tekstami, a kwestie biograficzne w ogóle pominąć? A muszą być to sprawy, które przekładają się na specyfikę danego tekstu: także na zasady pisowni, interpunkcji, segmentacji tekstu itd. Osobną kwestią jest edytorstwo tekstów, których podstawa nie istnieje (zaginęła, została zniszczona), tj. gdy edytor dysponuje tylko tekstem już opublikowanym – pół biedy, gdy jeszcze za życia autora, ale zdarza się, że dopiero po jego śmierci i gdy nie wiadomo, na jakiej podstawie został ustalony tekst skierowany do druku. Takie sytuacje można tylko opisać, wszystkie zasady edytorskie dotyczące ustalania tekstu nie mają tu zastosowania. A jak publikować odmiany tekstu, które się radykalnie różnią i które mają wartość autonomiczną? Mamy taki problem w przypadku *Operetki czy Kosmosu* Gombrowicza. Odmiany tych tekstów są po prostu innymi utworami – publikować je jako odmiany tekstu czy jako autonomiczne utwory wymagające osobnego opracowania? Może w takich wypadkach powinniśmy posługiwać się edytorstwem cyfrowym? Tworzyć hiperteksty, a nie teksty, bo hipertekst ma charakter przestrzenny, a sieć pozwala nam zerwać z podstawowym ograniczeniem edytorstwa papierowego, czyli z liniowym porządkiem tekstu werbalnego. Bardzo dużo tracimy, nie publikując archiwum danego tekstu (w rozumieniu krytyki genetycznej), gdy można by je opublikować w formie edycji cyfrowej. Notabene widzę tu jedną z przeszkód w przyciąganiu młodych ludzi do edytorstwa.

Dariusz Pachocki

Następne pytanie chciałbym nieco spersonalizować. Bardzo jestem ciekaw, w jaki sposób edytorstwo pojawiło w Pana życiu i co było dla Pana największym edytorskim wyzwaniem?

Włodzimierz Bolecki

To był zbiór przypadków i decyzji, które w końcu złożyły się na moje zainteresowanie edytorstwem. Ale zanim to wyjaśnię, chciałbym wrócić na chwilę do Gombrowicza. Dostałem od wydawcy propozycję napisania jego popularnej biografii. Niestety, piszę powoli, najpierw muszę wszystko przeczytać, przetrawić, kuszą mnie problemy metodologiczne, wciągają teoretyczne, rozpalają polemiki, więc było dla mnie jasne, że potrzebuję kilku lat. Ale oferta była na wczoraj. I wtedy sobie uświadomiłem, że najciekawiej o Gombrowiczu pisze sam Gombrowicz. Stąd wzięła się moja *Autobiografia pośmiertna* Gombrowicza. To, oczywiście, była interpretacja, ale tekstologiczna – moje prywatne laboratorium możliwości komentowania tekstów pisarza jego innymi tekstami. Rekonstrukcja dyskursu, edycja tekstu, którego nie było. Wkrótce potem, gdy wydawca zasugerował, żeby edycja *Ferdydurke*, nad którą pracowałem, była niestandardowa, zrozumiałem, że edytorstwo może być tak samo kreatywne, bogate i różnorodne jak najbardziej wysmakowane interpretacje.

A wracając do Pana pytania: miałem wyjątkowe szczęście, ponieważ będąc jeszcze studentem Uniwersytetu Warszawskiego, bardzo wcześnie zacząłem uczęszczać na seminaria, zebrania i konferencje w Instytucie Badań Literackich PAN. Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych to był złoty wiek IBL w sensie intensywności idei, pomysłów, prac, no i oczywiście także niezwyklej różnorodności ludzi uczestniczących w tych działaniach. Na moim rozwoju zaważyły dwa seminaria: historycznoliterackie

**Osobną kwestią
jest edytorstwo
tekstów,
których podstawa
nie istnieje**

prowadzone przez Alinę Brodzką i teoretyczne w Pracowni Poetyki Historycznej, gdzie liderem był Janusz Sławiński. Seminarium Brodzkiej dotyczyło problemów hermeneutyki literatury polskiej XX wieku, a Pracownia Poetyki Historycznej była kuźnią pomysłów nowoczesnej teorii literatury, jej języka, poetyki, recepcji. Wybierając temat pracy magisterskiej, chciałem zrobić coś, czego inni nie robili, i dlatego wybrałem twórczość pisarza, którym nie interesowali się moi rówieśnicy – Wacława Berenta. Do analizy jego twórczości postanowiłem zastosować problematykę faktu literackiego – w rozumieniu Sławińskiego – definiowaną jako spłot recepcji i tekstowości. Dziś widzę, że rekonstrukcja faktu literackiego, czyli wpływu recepcji na semantykę tekstu, była moim pierwszym wyjściem poza wąsko rozumiany immanentyzm. Z czasem przyszły następne – coraz bardziej interdyscyplinarne. Berent był wówczas jednym z kilku odkrywanych pisarzy Młodej Polski i zajmowało się nim w Polsce zaledwie kilka osób: Paszek, Głowiński, Mołodcówna, Nycz, Magdalena Popiel. Od Wydawnictwa Literackiego otrzymałem propozycję opracowania rozproszonych utworów Berenta i miałem ogromne szczęście, bo tę edycję robiłem wspólnie z Ryszardem Nyczem. On przygotował *Pisma rozproszone*, ja *Opowieści biograficzne* (wydane po raz ostatni w latach pięćdziesiątych). Bardzo dużo się od Nycza nauczyłem, a byliśmy bliskimi kolegami z tej samej pracowni w IBL. On wywodził się ze szkoły krakowskiej, ja ze szkoły warszawskiej. Nycz był uczniem Błońskiego, miał doskonałe przygotowanie krakowskiej szkoły historycznoliterackiej, ja natomiast byłem związany z warszawskim strukturalizmem, w rezultacie zrobiliśmy razem chyba coś wyjątkowego.

Dariusz Pachocki

Teoretyk literatury zajął się edytorstwem?

Włodzimierz Bolecki

Nie zdawałem sobie sprawy, na co się porywam, co prawda równocześnie z polonistyką chodziłem na zajęcia z historii sztuki, filozofii, historii i zapewne zainteresowanie historią przeważało, że odważyłem się rekonstruować źródła do *Opowieści biograficznych*. Dzisiaj myślę, że to było moje największe osiągnięcie edytorskie – samodzielne grzebanie się w archiwach, w osiemnastowiecznych i dziewiętnastowiecznych rękopisach w poszukiwaniu źródeł cytatów, docierałem też do rękopisów, z których korzystał Berent. W rezultacie stworzyłem sobie mapę lekturowych ścieżek Berenta, który pracował na materiałach zwróconych Polsce po pierwszej wojnie światowej w wyniku traktatu ryskiego, czyli w archiwum legionowym Jana Henryka Dąbrowskiego. To były dla mnie czasy heroiczne, bo nie tylko mierzyłem się z tekstami, o których wcześniej nie wiedziałem, ale stanąłem wówczas – jako literaturoznawca – przed czarną skrzynką. Musiałem ją otworzyć i opisać to, co się w niej znajduje. I udało mi się, ale było jeszcze coś trudniejszego, co dzisiaj młodym ludziom wydaje się w ogóle niemożliwe, a mianowicie, nie istniały wówczas żadne sposoby multiplikacji tekstów poza przepisaniem na maszynie w maksimum czterech odbitkach.

Dariusz Pachocki

Piąta nieczytelna.

Włodzimierz Bolecki

Już czwarta. Czyli żadnych kopii, żadnej techniki cyfrowej, nie mówiąc o ograniczeniach wynikających z tego, że ktoś inny to musiał przepisać, a to wymagało czasu, bo w kolejce oczekiwało kilka osób... Dzisiaj po prostu klikamy, przenosimy.

Dariusz Pachocki

Kopiuj – wklej.

Włodzimierz Bolecki

Kopiuj – wklej – dostosuj – zapisz, i mamy zawsze aktualną wersję. Wtedy trzeba było natomiast posługiwać się nożyczkami, w najlepszym wypadku taśmą klejącą, a najczęściej klejem. Przypuszczam, że duża część młodych polonistów nie wie, po co istnieje klej do papieru i że trzeba było budować całości tekstowe, montując wycinane pojedyncze wyrazy, zdania czy jakieś fragmenty. Pod takim zlepkiem umieszczano się kartkę papieru zasmarowaną klejem – musiało to wyschnąć, trzeba było pilnować, żeby się wszystko nie rozjechało. W ten sposób produkowało się tekst, który musiał być precyzyjnie sklejonny, bo trafiał potem do maszynistki. A jeśli coś źle poszło, to trzeba było poszczególne strony przecinać, kleić na nowo i na nowo przepisywać. Dziś na monitorze otrzymujemy komunikat: „Ups! Coś źle poszło, spróbuj jeszcze raz” – i cała naprawa trwa od kilkunastu sekund do kilku minut. To był naprawdę heroiczny okres, dlatego wszyscy, którzy w taki sposób pracowali, szanują warsztatowe możliwości współczesnej humanistyki.

Dariusz Pachocki

To Pana nie zniechęciło?

Włodzimierz Bolecki

Nie – to wtedy tyknąłem wirusa edytorstwa, a mówiąc młodzieżowym żargonem: „pojechałem na kleju”... Kolejne wyzwania już „przyszły same”, prace edytorskie o różnej skali trudności. Edycję pism Aleksandra Wata robiłem z Janem Zielińskim dla Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, plan był bardzo ambitny, opublikowaliśmy dwa tomy, czyli *Bezrobotnego Lucyfera i inne opowieści* oraz *Ucieczkę Lotha*, skomponowaliśmy tom trzeci (pisma publicystyczne pt. *Mimochodem*), no ale nasze drogi z wydawnictwem „Czytelnik” rozeszły się, a edycja pozostała niedokończona.

W tym samym czasie w moich zainteresowaniach pojawił się Schulz, Witkacy i Gombrowicz, czyli pisarze, którymi zajmowałem się w pracy doktorskiej. Interesowała mnie jednak nie interpretacja ich utworów, ale poetyka i korzenie ich twórczości, szczególnie Gombrowicza, czyli konteksty historyczne, z których ta twórczość wyraża. To samo jeśli chodzi o Schulza. Z Witkacym było nieco inaczej, bo on miał już ogromną bibliotekę historycznoliteracką.

Zajmowałem się wszystkimi tymi pisarzami i wtedy pojawiła się pokusa – może warto poszerzyć zainteresowania i przetłumaczyć swoją wiedzę teoretyczną na efekty edytorskie? No i tak się stało. Myślę, że każdy literaturoznawca ma podobne doświadczenie – pracujemy na zakładkę. Jednej pracy jeszcze nie skończyliśmy, wchodzi następne i kolejne. Tak było ze mną. Na Berenta nałożył mi się Wat, a z nim cała

ta trójka: Gombrowicz, Witkacy, Schulz, a do nich wszystkich dołączył Herling-Grudziński. Przy okazji jeszcze miałem inne pokusy i zostałem antologistą. Przygotowałem antologie tematyczne Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Leśmiana i Miłosza oraz antologię polskiej poezji miłosnej, z których najwyżej cenię antologię Miłosza i Leśmiana.

Dariusz Pachocki

Dlaczego właśnie Miłosza?

Włodzimierz Bolecki

Bo robiłem tę antologię za zgodą pisarza, który mi zostawił wolną rękę. A gdy otrzymał książkę, zadzwonił do mnie i powiedział, że jest to najlepsza antologia jego wierszy. Może to był tylko komplement, ale bardzo miły. Leśmian był dla mnie natomiast poetą trudniejszym w sensie odtworzenia jego uniwersum w układzie jego wierszy. A taka jest przecież istota antologii. To nie mechaniczne dokładanie kolejnych elementów, ale spójna struktura, z czytelną myślą przewodnią.

Dariusz Pachocki

Potem opracował Pan *Pożegnanie jesieni*.

Włodzimierz Bolecki

Tak. Najpierw dla siebie, żeby zaspokoić własną ciekawość, ale szczęśliwie nie do szuflady, bo wydałem to opracowanie (a właściwie niedopracowanie) w Wydawnictwie Literackim, któremu byłem ogromnie wdzięczny za tę edycję. Po dziesięciu latach wróciłem do tego opracowania, ale już w standardzie Biblioteki Narodowej, dla której właściwie napisałem małą książeczkę, prawie monografię tej powieści Witkacego.

Dariusz Pachocki

A jak teoretyk powieści Witkacego został jej edytorem?

Włodzimierz Bolecki

To wina Janusza Deglera – edytora. Najpierw zachwyił mnie swoimi genialnymi opracowaniami publicystyki Witkacego (*Bez kompromisu*), a potem przygarnął mnie do rodziny Witkacowskiej, no i musiałem czymś się wykazać.

Dariusz Pachocki

Ogromny ten wstęp do *Pożegnania jesieni*, ale podobnie jest w ostatnim tomie *Dzieł zebranych* Herlinga-Grudzińskiego. Ponad osiemdziesiąt stron posłowania...

Włodzimierz Bolecki

...które jest jeszcze innym wariantem funkcji edytorstwa. Napisałem szczegółowe studium biograficzne rodziny Herlinga, które powstało jako odpowiedź na problemy edytorskie – czyli kłopoty z komentowaniem tematów rodzinnych w utworach pisarza. To kolejny przykład, że edytorstwo powinno być punktem wyjścia edukacji literaturoznawczej, nie końcem, nie specjalizacją, nie żadną nauką pomocniczą.

Śluzdy wielkości. Rozmowy o edytorstwie

Od edytorstwa trzeba zacząć, a później można pójść w różnych kierunkach i dojść do różnych zagadnień literaturoznawczych.

Wojciech Kruszewski

A czy jest jakiś związek między Pana pracą jako pisarza a pracą edytorską? Podobno nad powieścią *Chack* pracował Pan wiele lat.

Włodzimierz Bolecki

Przeszło trzydzieści. Zaczęło się od scenariusza, do którego zbierałem materiały, zacząłem pisać pierwsze wersje, odkładałem je i wracałem, ale też oczywiście zmieniała się moja koncepcja. Na pewno kolejne doświadczenia literackie, tekstowe, edytorskie korygowały moje wcześniejsze pomysły, ale zająłem się innymi sprawami literaturoznawczymi. Co pewien czas wracałem do scenariusza, potem do powieści, oglądałem ją z różnych stron i wiele razy myślałem, żeby ją wyrzucić do kosza. To, że tego nie zrobiłem i powieść dokończyłem, uważam za sukces. Może to był sukces cierpliwości edytora? Bo cierpliwość w pracy edytora jest i obowiązkiem, i cnotą, i bezwarunkowym wymogiem, żeby rozpoczęte prace doprowadzać do końca. Trzeba zaakceptować, że nie będzie szybkiego efektu, trzeba pokonać pokusę, którą ma w sobie każdy młody człowiek: dzisiaj piszę, jutro drukuję. Nic podobnego: sprawy poważne wymagają poważnego namysłu, a poważny namysł wymaga dużo czasu.

Dariusz Pachocki

Gdyby miał Pan szansę zbudowania swojej ścieżki zawodowej jeszcze raz, to czy podjąłby Pan jakieś inne decyzje?

Włodzimierz Bolecki

To jest bardzo trudne pytanie i nie wiem, czy moja odpowiedź sprostą tej trudności. Gdyby mnie Pan zapytał, czy po latach inaczej napisałbym artykuł czy książkę, czy inaczej bym poprowadził pracę edytorską – oczywiście tak, tego nie trzeba uzasadniać. Życie zawodowe jest natomiast wypadkową dużej liczby zmiennych, wśród których najważniejsi byli ludzie, z którymi się stykałem, których obserwowałem, którzy mnie kształtowali, inspirowali. To był mój los wygrany na loterii.

**Od edytorstwa
trzeba zacząć,
a później można
pójść w różnych
kierunkach**



Fot. Magdalena Wiśniewska-Kraśnińska

Włodzimierz Bolecki (ur. 1952) – historyk, teoretyk, krytyk literacki, edytor. Autor wielu prac analitycznych m.in. o twórczości Wałława Berenta, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Mackiewicza, Czesława Miłosza, Brunona Schulza, Aleksandra Wata, Stanisława Ignacego Witkiewicza, a także wielu prac edytorskich, w tym utworów wskazanych pisarzy. Redaktor licznych prac zbiorowych z zakresu teorii literatury, edytor tematycznych antologii wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Bolesława Leśmiana, Czesława Miłosza oraz polskiej liryki miłosnej XV–XX wieku pt. *Snuć miłość*. Kierował projektem z zakresu humanistyki cyfrowej *Sensualność w kulturze polskiej (2012–2015)* oraz piętnastotomową edycją *Dzieł zebranych* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Profesor emeritus w Instytucie Badań Literackich PAN, mieszka w Warszawie. Więcej na stronie: www.Bolecki.eu.